Kochanie nasze na zawsze

Nie był stary. Przeciwnie – cholernie był młody: miał dwadzieścia pięć lat. Dopiero dwadzieścia pięć lat! – i już tak tym zmęczony, że czekał tylko na to, co jest na końcu życia. Czekał, bo choroba i cierpienie przyspieszają starość. A te głosy, które słyszał wokół, a które mówiły: „Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.” ; albo: „ Masz jeszcze dużo czasu przed sobą. Zobaczysz.” – nie były prawdziwe, szczere. I on to wiedział. Znał te kłamstwa. Poznał je, gdy umierała, konając w nieludzkim cierpieniu, jego matka. I tak jak on wtedy kłamał, tak oni teraz starali się go oszukać, dla jego dobra. Żeby mu było lżej. Bo kłamstwa potrzebne są takim ludziom jak on; one wzniecają nadzieję, która podupadła, którą z dnia na dzień się traci coraz bardziej, coraz więcej i więcej, aż w końcu jest jej tyle, że doprowadza nas do końca drogi – do śmierci. Ale śmierć wtedy jest jakby wybawieniem: jest w niej ten upragniony spokój i to – „wszystko będzie dobrze”, i jeszcze wiele innych rzeczy. Jest w niej wszystko – wszystko, oprócz życia. Nie ma w niej tego, czego człowiek pragnie najbardziej, co jest jego najwyższym i najcenniejszym dobrem, i czego nie jest się w stanie wyrzec dobrowolnie – nawet za cenę raju. Tego w śmierci nie ma. A on... on...

Było to nad morzem.

Drzwi bezszelestnie się otwarły i ukazała się w nich jakaś kobieca głowa. W chwili gdy właścicielka chciała je na powrót zamknąć, z wnętrza dobiegło:

– Zostań. Nie śpię.

Weszła do środka i podeszła do łóżka, na którym leżał.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Lepiej. Chyba o wiele za dobrze niż powinienem.

– Cieszę się, że ci się poprawiło.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Pocałuj mnie.

Usiadła na łóżku i zrobiła to. A po chwili on przygarnął ja i oddał pocałunek; następnie wziął ją całą, a ona mu się poddała; potem powtórzyli to, i jeszcze raz, a później, gdy jeszcze chcieli, byli już tak zużyci, że nie mogli i zasnęli od razu.

Spało im się dobrze, tak dobrze, jak tylko może tutaj o tej porze roku – na tej wyspie zakochanych, przy otwartym oknie, przez które wpadało ciepło i radość trwania.

Później, po południu, wzięli razem prysznic, ubrali się i zeszli na dół na obiad.

– Teraz dałabym radę nawet wołu. Taka jestem głodna.

Odwzajemnił jej uśmiech.

Miał ochotę na rybę. Zamówił więc sandacza z pieczarkami, do którego podano mu sok z cytryny, żurawiny i trochę kawioru z jesiotra; ona zadowoliła się naleśnikami z serem, rodzynkami i bitą śmietaną. Jedli w milczeniu, a ich oczy mówiły za siebie. Następnie on kazał sobie podać butelkę czerwonego wytrawnego wina, a ona porcję tortu biszkoptowego z czekoladą i bakaliami oraz kawę po turecku. Gdy uporali się już z tym wszystkim, powiedziała:

– Jeszcze kilka takich dni, a nie zmieszczę się w drzwiach.

– Nie oszczędzałaś się.

– Przeraża cię to?

– To bez znaczenia, kochanie.

– Właściwie to zmartwienie żołądka, nie moje.

– Świetnie powiedziane. Pójdziemy popływać?

Skinęła głową.

– Przyda mi się trochę ruchu. Czuję się strasznie ciężka.

– Ja myślę – powiedział i wstał z krzesła.

– Złośliwiec.

Pochylił się i pocałował ją. Powiedział:

– Poczekaj tutaj. Zaraz wracam.

– Kocham cię.

– Naprawdę zaraz wracam – odwrócił się i odszedł.

Później, na plaży, powiedziała:

– Chciałabym, żeby to trwało zawsze. Zawsze, zawsze...

– Znudziłoby ci się.

– Nie. Byłabym z tobą. – Przywarła do niego bujnymi, ale jędrnymi piersiami.

Nie odpowiedział, tylko ją pocałował, a ona przywarła do niego jeszcze ciaśniej. Było im dobrze i byli szczęśliwi – szczęśliwi, bo tak mało potrzebowali.

Następnego dnia pogoda się popsuła; wiał bardzo nieprzyjemny, ostry wiatr od morza i od czasu do czasu popadywało. Trwało to niemal przez cały tydzień. Ale oni tego czasu nie marnowali. Kochali się jak nigdy dotąd. Jakby w oszołomieniu, które nie miało się nigdy skończyć. Jakby się w tej miłości całkowicie zatracali z każdą

następną chwilą, każdą następną odwzajemnioną pieszczotą, doprowadzającą ich do bram, których przekroczenie było tylko kwestią chwili, a za którymi czekały ich wieczna rozkosz i niewyobrażalne szczęście. To była ich mała Arkadia.

Nadszedł dzień wyjazdu. Czas pożegnań, pocałunków i obietnic rzadko w przyszłości spełnianych. Przed południem wyjechali stąd – wracali do domu. I była to ich ostatnia wspólna podróż. Bo chociaż jechali razem, to jednak ich cele były różne: ona jechała ufna i pełna życia w nieznaną przyszłość, on – w przeraźliwie dobrze znaną pewność...

Trzy miesiące później było już inaczej. Gra się skończyła – aktorzy zeszli ze sceny. On zszedł z niej na zawsze, a ona... Ona wcielała się w kolejną rolę – „kochała" innego. I też chciała, by to jej kochanie było wieczne, było „na zawsze". O tamtym już nie pamiętała. Cała przeszłość była nieważna, bez znaczenia. Epizod. Wycięty kadr filmu. Na zawsze. Chociaż może nie na zawsze: na cmentarzu było cholernie zimno – przemarzła tamtego dnia.